



**Białeżyca  
Otrycki 22**

**Walne Zebranie  
Klubu Otryckiego  
21 10 1988**

## Wstępniak

A imię tego Biuletynu: Dwadzieścia i Dwa. Taki właśnie numer przekazuję w Wasze dłonie przy okazji jesiennego Walnego Zebrania. Postanowiłam tym razem podeprzeć się Janem Izydorem Sztaudyngerem. Mam nadzieję, że Was będzie równie bawił jak mnie.

Zwyczajowo już, nie zawiódła mnie Ariadna, a o ilości Ariadny w tym Biuletynie zdecydowałam ja sama, niejako autorce wbrew. Wszystkie trzy rzeczy są, moim zdaniem, bardzo dobre. Nie potrafię żadnej z nich odłożyć do następnego B.O. Rozwija nam się dziewczyna, że ho,ho!!!

Po baranie skorzystał z zaproszenia do współpracy jeden ze "starych" Otrytczyków - Piotr Morawski - jego widzenie Otrytu i Klubu znajdziecie tuż po wstępniaku.

Korespondencję zagraniczną przysłał mi Andrzej Pawlik /który zresztą już dawno dążył wrócić z wojaży i zamierza udać się na obczyznę znowu - liczę na następne doniesienia, Andrzejku/

Będzie także propozycja Wojtka Sadego. Propozycja, myślę, tyleż frapująca co utopijna. Zdaje się jednak, że Otrytczycy lubią takie właśnie propozycje nie od dziś, dlatego publikuję głos Wojtka jako pewnego rodzaju "kupić nie kupić, potargować można".

A będą jeszcze sprawozdania z obozów, które latoś miały miejsce na Otrycie. W tej chwili jeszcze wszystkich nie mam, więc o tym nic więcej. Przypuszczam, że jakieś materiały spłyną na moje redakcyjne biurko w ostatnim momencie, na razie niewiele więcej wiem o nich niż Wy.

Chciałabym, wykorzystując okazję, że dorwałam się do głosu, a raczej do maszyny, napisać coś nie związanego z Biuletynem, lecz związanego z życiem klubowym.

## Gratulacje

W swym imieniu i w imieniu wszystkich Otrytczyków gratuluję Mirce i Leszkowi Filipowiczom osiągnięcia w postaci drugiego SYNA - Michała. Bądźcie najlepszymi, kochającymi i kochanymi Rodzicami, niech najmłodszy Otrytczyk bierze przykład ze swego wspaniałego starszego brata - Jasia, niech Wam wszystkim życie smakuje jak lody, świeże truskawki i czekolada z orzechami.

"Słońce wschodzi, głaszcze powietrze.  
Dziecko się rodzi. Szumi deszcz.  
Kwiat otwiera oczy w ogrodzie.  
Zorza wieże złotem okleja.  
Ptak ptaka strofuje w gnieździe.  
Gwiazda dzień dobry mówi gwieździe.  
Dziecko się rodzi.  
Dziecko się rodzi.  
Nasze dziecko się rodzi.  
Nadzieja." K.I. Gałczyński "Dziecko się rodzi"

Na koniec pragnę napisać słów kilka do tegorocznych "zerówkowiczów", - podobacie się, naprawdę, nie tylko mi zresztą. Mam niejasne przeczucie, że wniesiecie do Klubu trochę "świeżej krwi", entuzjazmu i chęci robienia czegoś i nie najważniejsze jest w tym zdaniu słowo "czegoś", lecz słowo "chęć". Ze swej strony życzą Wam bezproblemowego zanurzenia się w życie studenckie i zapraszam do współpracy z Biuletynem.

Już chyba wszyscy macie dosyć tego wstępu, a więc przystępujemy do rzeczy - miłego czytania...

Bogna

---

"Tak wszyscy ganią poróbstwo i ruję,  
nazwa okropna - ale jak smakujel"  
J.I. Sztudynger

Myślę, że w tym roku, roku jubileuszowym, baran nie był zły. Sam baran był miękki, smaczny, a ceremonia była dla mnie okazją do wspomnień. Wódkę piło się jak zawsze, po góralsku, z jednego kieliszka, choć kiedyś było to łatwiejsze, nie było AIDS-a. A więc duch wspólnoty nie umarł na Otrycie, choć muszę przyznać, że nieco zeszcupiał, . Może jest nieskuszne to, co chcę powiedzieć /w końcu dawno już mnie tu na górze nie było/, jednak pewne rzeczy właśnie dzięki temu można lepiej dostrzec. A więc przystąpmy do dintojry, by starczyło jeszcze miejsca na pochwały.

Myślę, że ludzie, których poznałem, ci młodzi nieco się pozamykali w sobie. Tworzą zgraną paczkę, która świetnie śpiewa, natomiast nie poczujęm tego pulsu niepokoju, jakiejś otwartości, ciekawości, które pamiętam z dawnych lat. Myśmy, pamiętam, dużo gadali, dużo pracowali, dużo chodzili po górach, po ludziach tutaj żyjących. Teraz dominuje śpiew i gitara jako główny środek porozumienia, ekspresji. Dużo dobrych i dobrze śpiewanych piosenek, ale znowu brak tego temperamentu, hardości wobec tego co dzieje się dookoła, a dzieje się w końcu jeszcze więcej niż za naszych, studenckich czasów. Możliwe, że teraz niektórzy mają dosyć polityki, że teraz dominuje w niektórych kręgach studenckich prywatność, ale wolałem ten Otryt z lat 70-tych, gdzie spotykali się ze sobą komuniści, opozycjoniści, księża, robotnicy, trockiści, max buddyści itd. Ten tygiel otrycki jakby trochę przycisnął, choć może i sytuacja w kraju jest bardziej spolaryzowana, mniej tolerancyjna dla trzecich koncepcji. Teraz na Otrycie jest kulturalnie, przytulnie, sympatycznie, przypomina trpchę dom spokojnej starości.

Ale na szczęście na baranie pojawiło się kilku starych tygrysów, nieco steranych i o trzeszczących już kościach, ale w ichxxx

milczących i wpatrzonych w ogień twarzach odczytać można było jakąś tęsknotę za przeszłością. Zabrakło, niestety, tego głównego, króla puszczy, którego nazwisko do dziś wymawia się z pownym drzeniem w głosie, a na którego temat pamięta się różno, mniej lub bardziej korzystnie anogdoy. Jednak jego duch unosił się nad tą ceremonią dość wyraźnie, przynajmniej dla mnie, który pamiętam pierwsze lata Otrytu, kiedy to posuwaliśmy się za nim NIM niczym za lodołamaczem kruszącym bezlitośnie każdą przeszkodę.

A więc, kto przybył ze starych: Andrzej Organ, który zresztą był w pionierskiej wyprawie na Horodek, na Zaduszki w 72 r. Później Andrzej zakładał pierwszy biwak na Otrycio. Wraz z Bilem wykopali doły pod fundamenty w ciągu jednego dnia i nocy, podczas gdy kilkunastoosobowa grupa obozowiczów pracowała nad tym bez rezultatu przez dwa tygodnie. Na baranie spotkałem Piotra Życiońskiego, ps. Augustyn, Krzyśka medyka, z którymi wymknąłem się rano następnego dnia na piękną wycieczkę po górach. W blasku ogniska dojrzałem twarz Pawła Niepokólczyckiego, byłego kierownika Chałupy, jak zwykle otoczonego kobietami. Przyjechał ze swoimi damami tylko na kilka nocnych godzin, także na krótko przybył Przemek Wielowiejski, podobno był rano, wpadł na chwilę i wypadł, ja go nie widziałem. To jednak znak, że Otryt, chałupa, niczym magnes wyciąga z miejskich pieleszy, każe choć na chwilę posmakować tej specyficznej atmosfery.

Uważam, że dzisiejszy Klub za mało pielęgnuje swoją tradycję, przecież to drugie już pokolenie otryckie zacznie wkrótce odchodzić i ustąpi miejsca trzeciemu, o ile się ono pojawi. A dalsze istnienie Klubu w dużym stopniu zależeć będzie od umiejętności rozniecenia tego żaru, przy którym kiedyś ogrzewaliśmy się.

Chciałbym dorzucić jeszcze kilka słów sympatyczniejszych o obecnym Klubie. Interesująca wydała mi się próba nawiązania kontaktów z miejscową ludnością. W Chmielu odbył się festyn kulturalno-widowiskowy organizowany przez studentów. Istnieje podobno projekt wzniesienia świetlicy w Chmielu. Myślę, że ta inicjatywa mogłaby wciągnąć członków Klubu, studentów, zarówno w fazie budowy, jak i później, w czasie tworzenia programu działania świetlicy.

Piotr Morawski

---

"Dobry lekarz i ładna dziewczyna  
To najlepsza medycyna"  
J.I. Sztudynger

---

Ręka genialnego malarza  
przykryła miasto kopułą splekanego słowiu.  
Małe domy, małe drzewa, mali ludzie między małymi drzewami  
schylają głowy  
kryją wzrok  
boją się.

Mały człowiek niesie na głowie  
zwały różnoniebieskich chmur,  
różnokształtną lawinę.  
Mały człowiek nie podnosząc oczu  
maluje groźne niebo nad miastem.  
Niespokojne niebo waha się.  
W chwilach niepewności pojawia się biel  
odziana w odcień blue.  
Biel jest niespokojna o swój los;  
drga złowieszczo metalicznym połyskiem klingi  
a wokół brudny odcień blue.  
Szarozmienne smutne niebo śpiewa o błękitcie  
szydząc  
i odkrywa błękit prawdziwy.  
Szarozmienne rozpedzone niebo  
oprawione w złoto najgorszej próby.  
Oto niebo styczniowego popołudnia.

Teraz nad ~~miastem~~ miastem nieskażony blask księżycyca  
znaczy oczyszczenie nieba w styczniowy wieczór.  
Ciemnoniebieski spokój zapanował nad miastem  
biorąc pod opiekuńcze skrzydła  
małe domy upstrzone małymi żółtymi światełkami  
a w nich małych ludzi.  
Kto namalował to niebo?  
Twoje oczy...

Andrzej Wiórko

"Ja byłem zwierzę. Ona święta.  
Ale szeptała - lubię zwierzęta".  
J. I. Sztaudynger

Y

### Impreza "chmielowa" - refleks/y/je /opowiadka/

Pewnego dnia zawiadomiono mnie, że mam zostać kierownikiem administracyjnym obozu przygotowującego festyn w Chmielu. Nie było mi to wbrew, więc zgodziłem się. Obóz zgromadził dość pokaźną grupę ludzi - w przeważającej większości nie mających nic wspólnego z przygotowaniem do naszej imprezy. Żyliśmy sobie więc w miarę cicho i spokojnie trawieni wciąż wzrastającym niepokojem o to kto/?/ wystąpi na festynie. Każde skrzypnięcie drzwi wejściowych budziło nadzieję, że oto zaraz ukąże się w nich zarośnięte i uduchówione twarze zaproszonych artystów. Niestety, nic z tego - dowcipy o tym, że głównymi gwiazdami festynu staną się rodzimi klubowi grajkowie, zaczęły stawać się rzeczywistością, napięcie wciąż rosło...

Nadszedł długo oczekiwany - na szczęście słoneczny - dzień. Gdy schodziłem na dół, wcześniej "spuszczona" do Chmiela ekipa skończyła właśnie ustawiać scenę /przykryta plandeką przyczepa/ - wyglądała ona odlatowo. Wkrótce zabraliśmy się do wywieszania /na słupie elektrycznym/ płachty reklamującej imprezę i NS-a, w którym miała się mieścić niedoszła wystawa rzeźby, a Zaimprovizowano pospiesznie próby, w czasie których nasi artyści mogli oswoić się z czterema mikrofonami, polanami pod siedzenia, obsługą sprzętu, kanapkami z barana etc.

Nadszedł wreszcie TEN moment. Zaczęli schodzić się goście - i tu zaskoczenie - przyszło mnóstwo dzieci. Na szczęście zajęła się nimi Dorota W. obwoząc je wte i wowe na wyjątkowo spokojnym koniu Józ-

ka. W pierwszej kolejności występowało dwóch "dorwanych" turystów - zaśpiewali dwudziestominutowy dobry program "na rozgrzewkę". Zaraz po nich - pierwszy konkurs. Rzut metrem, wygrał Szponio - nasi nie rzucaли zbyt daleko. Potem występowałem z ja, a tuż po mnie był konkurs przeciągania liny - wygrali miejscowi. Osobiście stałem pierwszy przy linie, mimo starań przeciągnięto mnie /i to już w pozycji horyzontalnej/. A ludzi wciąż przybywało..., dochodził już baran, gdzieś tam w słońcu ukryta za pazuchą butelczynal. Następnie w repertuarze Stachury wystąpił Marek M. Wreszcie długo oczekiwana chwila. Młodsza część zgromadzonych już od dłuższego czasu społgądała na wysoki, wąski skup, na którego "wierchu" kołysała się "połówka". Rozlosowano kolejność wspinania - pierwszy Marek M. Wszedł wysoko, ale nie dał rady, potem miejscowi też niczaki dali, wreszcie bohater wieczoru - Szponio - zdjął butelczkę. A było już wesoło i coraz częściej widać było dochodzące z różnych stron błyski szkła. Teraz na scenę wszedł Marek P. - najpierw "żelazny" repertuar, potem Margot i co? I zaczęli tańczyć! Potem już było błyskawicznie - duety, Marek i ja z "Różą Bóg", z "Szablą", z "Sam się kąpie", następnie Piotrek ze mną i jego rakedandrolle, popisy, temperatura /i to bynajmniej nie powietrza/ rosła. Kto grał później nie pamiętam, prowadziłem bowiem rozmowy z kwiatem miejscowej młodzieży i starszeństwem. Usłyszałem, że impreza jest "lux" i że w następnym roku to ho,ho... i wiele podobnych... A później... później to podchodziłem do Chaty, a impreza bynajmniej się nie skończyła, ale co się dzieło dalej nie wiem.

Dlaczego impreza w tym roku była udana? Rzecz prosta - lepsza i wcześniejsza organizacja /główna zasługa - w porządku alfabetycznym - Andrzej W., Izy G. i Marka P./, nagłośnienie - zupełnie wystarczający "czad" na duże Vermony, miła atmosfera - było dobrze. Myślę, że w przyszłym roku będzie jeszcze lepiej.

Jarek Frackowiak

---

"Dniem czcić kobiety, po co?  
Ja czczę kobiety - nocą...!"  
J.I. Sztudynger

---

### Chatki klubowe ale własne - propozycja akcji

Jakieś 100 metrow na zachód od Chaty Socjologa stoją dziś jeszcze /1988/ ruiny kapliczki, którą latem 1976 r. zbudowałem przy pełnej pomocy mojej przyszłej żony Lidki. Miał to być pierwszy z całej serii obiektów, jakim sobie wówczas wymarzyłem. Na Wielkanoc 1977 zacząłem jeszcze, w połowie drogi między Chatą a kapliczką, wznosić altanę do picia herbaty - skończyło się na wstępnych pracach, po których dziś nie ma ani śladu. Moje ówczesne projekty z zainteresowaniem się w Klubie nie spotkały. Jedynie Aby proponował wtedy coś podobnego - tyle, że wolał mówić niż robić.

Potem coś się zgodnego z tamtymi moimi planami na Otrycie stało. Zaczął budować chatkę Artur, że jednak zwalczał go Kliszko, a i on sam z Otrytu wreszcie odszedł, to budowy nie skończył, a i nikt jej do tej pory skończyć nie może. Wkrótce potem powstała już chatka poniżej ujęcia wodnego - choć i ona nie może doczekać się ukończenia.

Nie będę jednak wracał do starych wizji. Chcę pisać o przyszłości. Mam mianowicie dla dzisiejszego Ruchu Otryckiego propozycję - i mam argumenty silnie za nią przemawiające.

Podstawowy argument dotyczy obecnego stanu Chaty Socjologa. x Błędy popełnione tak przy jej projektowaniu, jak przy budowie sprawiają, że dziś, po 15 latach, stan budynku jest zły i nie wiadomo, czy za następnych 15 lat w ogóle będzie on stał. Niezależnie od swego stanu budynek ma szereg wad sprawiających, że jest mało

przydatny do pełnienia ról, dla których został stworzony. Po pierwsze, wewnątrz jest ciemno - a trudno dziś sobie wyobrazić dodanie nowych okien. Po drugie, zła jest izolacja cieplna i jeszcze gorsze ogrzewanie - tu znów bez kapitalnej przebudowy nie widać możliwości poprawy. Po trzecie, układ wewnątrz nie sprzyja intymności, czy choćby znalezienia cichego kąta do lektury, namysłu czy medytacji.

Jedynym rozwiązaniem tej sytuacji wydaje mi się podjęcie prac, zmierzających do przeniesienia dużej części życia na Otrycie poza Chatę. Gdyby się to powiodło, można by potem myśleć o generalnym remoncie Chaty połączonym z jej przebudową. To drugie zadanie jest bardzo trudne, wymaga też sporych środków finansowych. To pierwsze wydaje się stosunkowo proste, a będzie mieć ono wartość niezależnie od realizacji drugiego.

Chodzi mi mianowicie o zabudowanie okolic Chaty Socjologa małymi chatkami - i nie tylko. Niegdyś, przed 12 laty, myślałem o tym, by zabudowa taka układała się w trzech ciągach - łączących się przy Chacie. Ta stanowiłaby wówczas swoiste serce całości - będąc miejscem spożywania wspólnych posiłków i wieczornych imprez przy kominku. Ciąg pierwszy miałby przechodzić obok kapliczki i kończyć się na znajdującej się dalej łące. Drugi, najkrótszy, ciągnąłby się jakieś 150 metrów wzdłuż ścieżki prowadzącej do Lutowisk. Najdłuższy schodziłby obok ujęcia wodnego i dalej wzdłuż drogi do Chmiola aż do stojącego w lesie /ok. 10 min. marszu/ na skarpie nad potokiem szakasu, barbarzyńsko potem zniszczonego przez Kliszkę. Nie chodzi jednak o proponowany układ zabudowy, lecz o samą ideę.

Powstaje problem: jak tego dokonać? Zwłaszcza w sytuacji, gdy Klub nie jest nawet w stanie wykończyć dwóch chatek już stojących. Myślę, że jedynym rozwiązaniem byłoby zainteresowanie budową konkretnych osób, które też zyskiwałyby na tym stosowne przywileje.

Taka jest zasada akcji: CHATKI KLUBOWE ALE WŁASNE. Oto ona:

Osoba lub grupa osób - zwana dalej budowniczymi - zgłasza Klubowi Otryckiemu projekt chatki, jej lokalizację i orientacyjny termin zakończenia budowy. Jeśli propozycja zyska aprobatę, można przystąpić do prac. Odpowiedzialność za ich prowadzenie spoczywa na budowniczych, Klub Otrycki jednak udziela im pomocy finansowej i innej. Warunki pomocy podlegają stałej negocjacji; obustronne zobowiązania powinny być spisywane.

Klub sprawuje nad budową nadzór. Jeśli budowa przebiega zbyt słabarnie, jeśli narusza interesy Klubu, przyczynia się do dewastacji przyrody itp., Klub Otrycki może - po rocznym ostrzeżeniu - odebrać prawo dalszej budowy, a to, co już zbudowane zostało przekazać innym chętnym.

Po ukończeniu budowy chatka - stanowiąc własność Klubu - pozostaje do dyspozycji jej budowniczych. Mogą oni nawet wyjeżdżając zamykać ją na kłódkę. Jeśli jednak nikogo z budowniczych na Otrycie przez okres dłuższy niż 2 tygodnie nie ma, mają oni obowiązek udostępnić ją - na uzgodniony okres - tym, którzy chcieliby tam zamieszkać. Budowniczowie powinni na życzenie otrzymywać informację, kto i kiedy w chatce przebywał; mogą też wskazywać osoby mające pierwszeństwo do korzystania z chatki. Jeśli chatka ma więcej niż jedno pomieszczenie, budowniczowie mają prawo jedno - najmniejsze - zachować do wyłącznego użytku /w Arturówce byłby to stryżek/. Jeśli pomieszczenie jest tylko jedno, mają prawo ustawić w nim zamykaną na zamek szafę lub skrzynię.

Gdyby chatkę wykorzystywano w sposób sprzeczny z interesami Klubu, Klub może - po rocznym ostrzeżeniu - pozbawić budowniczych ich praw. Prawa te wygasają również, jeśli nikt z budowniczych nie korzystał z chatki przez trzy kolejne lata. /Od takich reguł przewidzieć należy wyjątki/. Oczywiście budowniczowie sami mogą z praw swych zrezygnować - nie mogą jednak tych praw przekazać komukolwiek innemu, nie dziedziczą tych praw także ich dzieci. Po utracie przez

budowniczych praw do użytkowania gotowej chatki przechodzi ona na zawsze do wyłącznej dyspozycji Klubu Otryckiego. /Budowniczkowie mają wtedy prawo zabrać z chatki przedmioty artystyczne, jakie wykonali oni lub ich przyjaciele i te przedmioty, które w sposób udokumentowany nabyli za własne pieniądze/.

Chatki takich mogłoby na Otrycie Górnym powstać około 15 - tamtejsza przyroda nie zniesie bowiem dłuższego pobytu więcej niż 50-60 osób. Już istniejąca zabudowa sugerowałaby ich namiotowy kształt. Ale też mogą to być - na pochyłościach terenu - ziomianki! Taką sugestią wysuwał niegdyś wspomniany już Aby, zaś ogólnie zasady budowy znaleźć można w książce K. Muszyński, J. Szymański, "Mały domek na działce", W-wa 1981, wyd. 4, s. 183-186; tamże ciekawe warianty domków namiotowych i innych /np. skrzynio, które po rozłożeniu tworzą altanę czy prowizoryczny domek/.

Powodzenie akcji zależy nie od Klubu ale od istnienia kandydatów na budowniczych. Rzeczą Klubu Otryckiego jest złożenie oferty - może również osobom spoza Ruchu Otryckiego, o ile zgodzą się przyjąć stosowne warunki. /W końcu jest to sposób, by mieć prawie własny domek w górach niemal za darmo i bez konieczności kupowania działki, a w dodatku pilnowany przez cały rok przed złodziejami/. Istniejący klimat polityczny sprzyja chyba uzyskaniu zgody na takie przedsięwzięcie. /Sprzyja ono polepszeniu stanu zdrowotnego studentów itp./.

Gdyby udało się rzecz całą w ciągu najbliższych, powiedzmy, 10 lat zrealizować, Ruch Otrycki zyskał by mógł zupełnie nową jakość.

Wojciech Sady

---

Wzrostem na ciało -  
tego chciało".  
J.I. Sztudynger

---

Poniższy wiersz pisany był z myślą o końcu roku akademickiego. Konwencja wakacyjnego numeru B.O. natomiast nie sprzyjała zamieszczeniu jakiegokolwiek innego tekstu, niż relacja z wycieczki K.O. Bogna

---

Znowu zadźwięczał ostatni dzwonek,  
spieszą na Otryt tłumy zmęczone  
miastem, nauką, egzaminami.  
Jadą samotrzeć albo parami,  
kołoją, LOT-em lub autobusem,  
a od Dwornika rwą dzikim kłusem,  
by jak najszybciej zająć poddasze  
/choć sporów trudno uniknąć czasem/.  
Już tam na górze Marucha czeka,  
nowoprzybyłych wita z daleka,  
pyta o zdrowie i stopnie w szkole,  
strudzonych drogą sadza przy stole.  
Iza znużenia jakby nie znając  
sprawami kuchni idzie się zająć.  
Liczy zapasy, zbiera dziewczęta,  
gdyż każda winna być czymś zajęta.  
Mężczyźni mówią o męskich rzeczach.  
Andrzejek wnosi do izby plecak:  
wyjmuje śrubki, świeczki i szmaty,  
potem wychodzą na zewnątrz Chaty.  
Przem. proponuje włości lustrację  
Marek /K/ przyznaje mu świętą rację,  
schodzą do wody i do ogródka,  
zaczem Lektorium, a potem krótka



inspekcja stanu ~~wykazująca~~ rzeczy w drowutni  
/wychodzą stamtąd cokolwiek smutni/.

Tymczasem w Chacie dyskusje trwają,  
kto też jaskółki powinien zająć.

I kto wygrywa? - Żadna siurpryza -  
Artur z Beatą i z Jajkiem Iza.

Nie mieli wiele gębą Malutki,  
po chwili widać już tego skutki -  
ogień w kominku wesoło płonie.

Z kuchni dochodzą przyjemno wonie,  
Tadeo z Ewą robią kanapki,  
bo umyć się poszły inne babki.

Malina buzię czyści w łazience,  
Oleńka wodą zwilżyła ręce...

Dość tych ablucji! Lecz zaraz, kto to  
do wody bioży, choć wkoło błoto?

Wszystko w porządku - to jest po prostu  
święta Dorota - patronka mostu!

Pierwszy posiłek - raczej niewiele:  
chleb, dżem, musztarda i z rybką serok.

Cóż, na przednówku /to w górach zwykłe/  
głód w oczy patrzy. W dodatku nikłe

zapasy cennych, pustych butelek  
skończyły już się przy Bożym Ciele.

Lecz wkrótce skończą się te problemy,  
w końcu kiełbasy sobie podjemy,

kiedy przywiezie worek gotówki  
na towarzysza Szczupłą - szefa remontówki.

Wnet narzekania ustaną wszelkie,  
bo szczodra rękę i serce wielkie

ma bez wątpienia nasz Kazimiera  
/wszak dla swych pociech pieniążki zbiera/.

Lecz póki świeci kasa pustkami,  
Filip po krótkiej bitwie z myślami,  
skoczył na górę po flaszkę czystej  
/aby podzielić się z towarzystwem/.

A tu sensacja - nie pije Darek,  
Lenin, Mój Boże, chwycił gitarę  
I coś tam w kącie ~~wizytka~~ brzęka cichutko.

Dionizjo dawno już walczy z wódką.

Chyba z Filipem Michał wypije.  
Choć nie - i Witek się stuka w szyję,  
bynajmniej nie jest to obojętne  
I Henrykowi - on także chętnie.

skosztuje kapkę. Ach, jeszcze gdyby  
był tutaj Olek, Andrzej - szczęśliwy  
niemowląt piastun, albo Komisarz  
/który z za morza list już napisał.../

Cóż, niech napije się Grzesz nieboże  
/choć wódka chyba mu nie pomoże/.

x x x

Jedno nas jeszcze martwi i smuci,  
że Bogna nie chce na Otryt wrócić.

Czymś się wykręca, czymś się tłumaczy,  
nikt nie wie dobrze, co też ma znaczyć,

ta tajemnica raczej ponura...  
Bogna nas chyba nie lubi w górach!

xx xx xx

A, by nie zaszła pomyłka żadna -  
to napisałam ja - H. Arjadna.

"Tak się dziola białki,  
podział to niemiałki:  
Do lat 20-tu - szałki,  
Do lat 40-tu - grzałki,  
Od lat 40 do 100 - ułogałki".  
J.I. Sztudynger

### Sprawozdanie z obozu baraniego

Zacznę niekonwencjonalnie, ale za to chronologicznie. W sobotę /24.IX/ wieczorem wziąłem pod pachę Joannę, Michała i parę piw i w tym składzie udaliśmy się do Lektorium, aby odwiedzić pomieszkującego tam od kilku dni i chorującego Malutkiego. Zastaliśmy do rzeczy-wiście w ciężkim stanie /czyli od kilku dni nic się nie zmieniło/ i w wyniku tego, od słowa do słowa, zostałem nowym kierownikiem obozu. Podziękowałem Markowi za ten prezent urodzinowy i żwawo wziąłem się do roboty. Już po dwóch dniach odzyskałem kontrolę nad za-burzoną nieco całością /wachty, zakupy, turyści itp./, a dalej to już jakoś poszło. Mimo drobnych zakłóceń /"apteczkowa" impreza Iron-ki, Belwita i Krzyśka<sup>xx</sup>, najazd pijanego "Kaktusa" w towarzystwie wyżej wymienionej/ żyliśmy sobie w harmonii, rankami pracując, ubierając grzyby i orzechy, wieczorami zaś bawiąc się na miłych imprezkach /choćby imieniny Pichałka czy urodziny niżej podpisanego/. Wraz z Maruchą, którego trudnej do przecenienia pomocy tego-rociany baran wole zawdzięcza, kolejno umówiliśmy, zakupiliśmy.... przynieśliśmy na górę i wstępnie przygotowaliśmy ponad 20 kilogra-mowego zwierzaka płci męskiej. Został on ugotowany i wtedy na szczęście przyjechał Andrzej W., który zdjął z moich barków ostat-nią fazę pracy nad potrawą, której nigdy dotąd nie przygotowywałem.

Muszę przyznać, że obawiałem się nieco zjazdu "Starych" Otrytczyków, szczególnie w tak dużej liczbie, jakiej spodziewaliś-my się z okazji 15-lecia. Obawy moje okazały się przesadzone i tu zastąpił je /połączony, co prawda, z ulgą, ale zawsze/ pewien żal, że zjawilo się ich tak niewiolu: ze starej gwardii pojawili się tylko Juruś z Piotrem-Augustynem, Tadeusz A. Olszański, Krzyś Me-dyk, Piotrek Morawski, Joachim Biernacki, Belwit, Hucuł i Lenin. A gdzie reszta?! Swoją obecnością nie zaszczycili nas także ludzie tak związani z Chatą jak Jurek 2000, Józek Polański /?!/ czy Artur Lignowski. "Dół" reprezentowany był jedynie przez Prozosa, Szpenia i żeńskie latorośla Obrochtów. Grono<sup>xx</sup> klubowo-weterańsko-gościowe uzupełnione było przez 5 osób z zerówki, dwuosobową /męską/ dele-gacją ekipy Łódzkiej, przyjaciół, znajomych i przyjaciół znajomych. Z wiadomych przyczyn szczytowa liczba uczestników imprezy trudna była do skontrolowania, nawet dla kierownika, ale wtajemniczeni twierdzą, że wahała się pomiędzy 40 a 50. Zabawa była przednia, tym bardziej, że wyjątkowo dopisali gitarzyści /w porywach do ośmiu!/, a jerez późno się skończył. Spokojna, acz przednia. O ba-ranie jako takim /par excellence/ przez skromność nie będę wspominał. Kto nie był, niech żałuje.

Andrzej Pawlik

~~xxxx~~ - niepotrzebne skreślić.

"Nie zdradzany mężczyzna,  
To nierogaczyna".

J.I. Sztudynger

Zbieram piękne liście,  
liść do liścia  
liścik  
A jak już pozbieram

to sobie je skleję  
drzazgami wzbogacę  
nie powiem nikomu -  
będę miała  
drzewo  
w swoim ciepłym  
domu.

B.

---

"Dwaj starcy ujrzeni  
Zuzannę w kąpielu,  
chcieli postraszyć,  
ale czym nie mieli".

J.I. Sztudynger

---

ORIGINAL CRIME STORY!  
1988 NATIONAL BESTSELLER!!  
1989 THE PULITZER PRIZE-WINNER'S NEW BESTSELLER!!!

ARIANE O'HENC

"To się zawsze może zdarzyć"

Tytuł oryginału: "It can always happen"  
Tłum. z angielskiego: Kici Koci

I.

Śnieg sypał bez przerwy od kilku dni. Ciężkie płatki osiadały na gałęziach świerków, tworząc ogromne, puszyste czapy. Co pewien czas którąś z gałęzi ugięła się nisko ku ziemi i śnieg z głuchym łoskotem spadał w dół. Biała pokrywa na schronisku Mt. Saint Otryt zaczęła przybierać niepokojące rozmiary. Mokry, związły śnieg ani myślał zsuwać się w dół po pochyłości dachu.

- Niech to diabli! - kierownik schroniska, młody jeszcze mężczyzna o nieprzeniknionym obliczu, zaczynał się irytować. - Żeby tylko przestało padać do nocy. Warto by jeszcze dziś porzucić trochę z dachu. Jutro wszyscy będą półżywi.

Poniżej schroniska, na polanie widać było postacie w kolorowych narciarskich kombinezonach. Pomimo kiepskiej widoczności paru najwytrwalszych narciarzy starało się wykorzystać ostatnie jasne godziny starego roku. Większość gości pozostała jednak w schronisku, a z sisy, jaka zapanowała po śniadaniu należało wnosić, że zamurzone niebo podziałało jak środek nasenny.

Od szeregu lat przez dwa zimowe tygodnie schronisko pod szczytem Mt. Saint Otryt zajmowane było przez stałe grono gości. Większość stanowili Anglicy, Amerykanie, Szwajcarzy, ale było też kilku Włochów, Francuzów, dwóch niemieckich intelektualistów, jeden Hiszpan /matador po kontuzji/. Artyści i naukowcy, biznesmeni, emerytowany wojskowy, były policjant, ludzie o różnych zawodach i zamiłowaniach, mieszkający w odległych zakątkach kuli ziemskiej. Przez cały rok nie utrzymywali ze sobą żadnych kontaktów, niezmiennie jednak na kilka dni przed Bożym Narodzeniem zjeżdżali wszyscy do małego, wysoko w górach leżącego schroniska. Przez dwa tygodnie obrzucali się śnieżkami, lepili ogromne bałwany z czerwonymi marchwianymi nosami, jeździli na nartach i sankach. Wieczorami atrakcją było jeszcze mniej - książki, karty, szachy i obficie podlewane alkoholem filozoficzne dyskusje przy kominku. Co ich łączyło, po co się tu spotykali? Któż to wie. W kilka dni po Nowym Roku rozjeżdżali się, każdy w swoją stronę. Nie pisywali do siebie listów, nie dzwonili, nie wysyłali życzeń urodzinowych. Czy myśleli o sobie? Wiadomo tylko tyle, że gdy minął rok wracali niemal wszyscy.

Mt. Saint Otryt było najwyższym w górach leżącym schroniskiem. Droga do miasteczka przez sześć zimowych miesięcy była nieprzejezdna, a bywało też często, że gęsty śnieg zasypywał dojazd do najbliż-

szej wsi. Schronisko posiadało wprawdzie mały pług śnieżny, ale używano go rzadko. Gościom z turnusu noworocznego nie zdarzało się bez potrzeby opuszczać zacisznej, osłoniętej od wiatrów polany. Aby uniknąć kłopotów już pierwszego dnia przywożono odpowiednio obfite zapasy żywności, a pan Duval, właściciel najlepszego w Chmicilleville sprzętu śnieżnego zobowiązywał się w umówiony dzień - 3 stycznia rano przetrzeć drogę do wsi, aby umożliwić wyjazd.

Koło południa przejaśniło się trochę. Śnieg padał wprawdzie nadal, ale były to już pojedyncze płatki, drobniejsze i jakby mniej wilgotne. Mario wyszedł na ganek kuchenny, z niepokojem spojrzął na białą czapę zwisającą z okapu, tuż nad jego głową. - Jaka szkoda, że Robert ma wolno, znów będę musiał sam wziąć na górę. Jak w zeszłym roku. Cholerna robota, morderałem się wtedy z pół dnia. Nikt, rzecz jasna, nie raczył pomóc. Chociaż właściwie... mógłbym poprosić, może Derek mi pomoże. Równy z niego gościem

Derek i Bo, sympatyczna para Anglików w średnim wieku są zajmowali pokój na pierwszym piętrze, bezpośrednio nad mieszkaniem kierownika. Derek był biznesmanem, udziałowcem kilku dużych spółek i przewodniczącym Rady Nadzorczej Jary Plumbers Co. Jego żona, Bo, zajmowała się wydawaniem magazynu ilustrowanego, który Derek zakupił specjalnie dla niej przed paru laty. Pismo nie należało do specjalnie poczytnych, a złośliwi twierdzili nawet, że Derek wykupywał z własnych funduszy połowę całego nakładu, ratując wydawnictwo przed niechybną plajtą. Bo była osobką o bystrym umyśle, ciętym dowcipie i dużym pociągu do alkoholu, co stanowiło stałą troskę jej męża.

Mario zapukał do drzwi pokoju nr 5, odczekał chwilę i zapukał raz jeszcze. Potem wstrzymał oddech i przez chwilę usiłował wyłowić uchem jakikolwiek dźwięk. Wewnątrz panowała jednak niczym nie zmąconą ciszą.

- Śpią tak samo jak cała reszta - pomyślał i ruszył z powrotem w kierunku schodów. Zszedł już kilka stopni w dół, gdy za płocami usłyszał zaspany głos. W drzwiach "czwórki" stała postać w długiej, nocnej koszuli. - O, Alexa - uśmiechnął się Mario - nieza wcześnie trochę na wstawanie? Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- O key, dowcipny jesteś - zgodziła się w końcu. Potem ziewnęła szeroko, zapominając o zasłonięciu ust dłonią. - Aaaa, spać poszłam strasznie późno, czytałam prawie do rana. Przeciągnęła się.

- Uhm, Andy to chyba podziela twoje zamiłowanie do literatury, nie uważasz? Widziałem, jak wchodziłaś do jego pokoju wczoraj po północy - dodał, widząc, że z początku nie rozumiała o czym mówi.

- Ty to chyba bierzesz dodatkową pensję za śledzenie swoich gości. Przed chwilą też podśluchiwałeś pod drzwiami tych Anglików - odcięła się Alexa.

- No, no, muszę wiedzieć, co się dzieje pod moim dachem. - uśmiechnął się Mario. W końcu od tego tu jestem.

- Tylko nie przesadz z tym przypadkiem - pogroziła mu palcem. - Do Andy'ego poszłam pożyć papierosy - a uważa jednak za stosowne wytłumaczyć się. - Zresztą i tak nie było go w pokoju. Ciekawe, gdzie tym razem się zabawiał. Przyglądała trochę nieuczesańne włosy. - Założę się, że jego pościeli nie ma potrzeby w ogóle zmieniać. Andy, młody Anglik, birbant i utracjusz, był postacią tym gronie bardzo popularną. Wielką fortunę swego papy trwonił wesoło i pomysłowo. Andy /Andy-Dandy, jak go tu nazywano/ wedle swych własnych słów nie mógł się, niestety, obejść w życiu bez trzech rzeczy: koni z rana, alkoholu wieczorem i kobiet w nocy. Jego stajnia należała do najlepszych w hrabstwie Monmouthshire, a piwnica znana była w całej Walii. Tu, w górach, konie zmuszony był zamienić na narty, ale z pozostałych dwóch przyjemności nie zamierzał rezygnować. I nie rezygnował.

Mario zostawił Alexę, ostrzegając ją jeszcze, że nie zdąży na lunch, jeśli w ciągu godziny nie zdoła umyć się i ubrać, a sam zszedł na parter. Śnieg przestał padać, przez pojaśniającą nagłe

warstwę chmur przebił się promień słońca. Góry oglądane przez lornetkę Maria wyglądały surowo i groźnie. Białe języki śniegu sięgały daleko aż pod samą grań. W najwyższych partiach żłobów zalegały stromo, niemal pionowo ponad skalnymi półkami i występami, tworząc masywne, miejscami przewieszane filary. Mario znał dobrze góry, chociaż pochodził z nad morza i wychował się w słonecznej Genui. Już jako chłopiec zaczął, najpierw wspólnie z ojcem, potem już samotnie, przemierzać pasma pobliskiego Apeninu Liguryjskiego. Z czasem przyszedła kolej na coraz to wyższe i coraz odleglejsze góry. Lata mijały, a on wspinał się i znów schodził w dół, w słoneczną, ludne doliny. Aż któregoś zimy poczuł znudzenie tym ciągłym włóceniem się po świecie i postanowił zostać gdzieś na dłużej. Trafilo się schronisko pod Mt. Saint Otryt. Poprzedni kierownik zniknął bez wieści, po prostu któregoś razu nie wrócił już z urlopu. Dom stał wysoko w górach, z dala od uczęszczanych szlaków, nie było więc wielu chętnych do zamieszkania na stałe. Mario postanowił spróbować. Było to wiele lat temu. Od tego czasu schronisko stało się jego prawdziwym i jedynym domem. Kilka tygodni przysługującego mu urlopu, które spędzał zazwyczaj u matki w Genui, dłużyły się niemiłosiernie. Z ulgą pakował plecak i wracał z powrotem do siebie.

W schronisku, oprócz niego, mieszkało na stałe, niemłode już małżeństwo - Robert i Eliza. Ona gotowała, sprzątała pokoje, on wykonywał wszystkie cięższe roboty, zajmował się zaopatrzeniem, pomagał żonie. Mario lubił ich spokojnie, niekrępujące towarzystwo, pasowali do siebie. W sezonie świątecznym Robert i Eliza wyjeżdżali pod Berno do swych krewnych. Wracali po Krzech Królach obciążeni pakunkami i zmęczeni, niezmiennie zapowiadając, że w przyszłym roku nie mają zamiaru nigdzie wyjeżdżać. Podczas ich nieobecności goście z turnusu sylwestrowego zmuszeni byli sami gotować i sprzątać, co zresztą traktowali jako dość zabawne, a przy tym niezbyt męczące urozmaicenie urlopu.

Mario patrzył wciąż na góry. Wiedział, czym grożą te śnieżne ściany wznoszące się ponad wąwozem. Dzień, dwa i wszystko to może z ogłuszającym hukiem runąć w dół, zasypując na przestrzeni ponad kilometra drogę do Chmieleville.

Zegar w mieszkaniu wybił pierwszą. Na polanie obok schroniska Jerry Fracklin i jego młoda żonka ~~z~~ zaczęli lepić kolejnego bałwana. Kilka poprzednich przysypanych grubą warstwą śniegu stało w różnym oddaleniu od budynku, dając przy pierwszym spojrzeniu wrażenie ruchu, a nawet tłoku na polanie. Jerry toczył wielką śnieżną kulę, po chwili jednak zaczął do niej dolepić mniejsze bryły, rozbudowując na długość swą budowlę tak, że tworzyła coś na kształt muru.

- Żadny dzień się robi - pomyślał Mario. - Ciekawe, czy Dominique i profesor von Sydlack nie zapomnieli, że przygotowują dziś lunch. Ona buja ciągle w obłokach, za to trzeba przyznać, że profesor całkiem nieźle gotuje.

- Jerry!! Ależ co ty robisz?! - Isabel skończyła właśnie toczenie pięknej, kształtnej kuli i ze zdumieniem stwierdziła, że nie ma na czym jej umieścić. - Przecież mieliśmy lepić bałwana...!

- Taak... Ale zobacz... To też żadne... - Jerry uśmiechnął się z zakłopotaniem.

Schronisko ożywiało się. Ze środka dobiegało przytłumione skrzypienie schodów, stukanie drzwi, jakieś rozmowy, śmiech. Tak, robił się naprawdę przyjemny dzień...

Nagle...

- Non! Non! Oh, mon Dieu! Oh, mon Dieu! Non, ce n'est pas possible! non, non... rozdzierający krzyk przeszedł w przeciągłe zawodzenie. Mario rzucił się do drzwi. W korytarzu, przy wejściu do spiżarni Marco Piccolo podtrzymywał słaniającą się Dominique. Felipe i Dr Georg pochylali się nad czymś leżącym na podłodze spiżarni, ale Mario nie mógł dojrzeć, co to było.

- Dominique, co się stało?

- Ce n'est pas vrai, ce n'est pas possible - powtarzała w kółko jak obłąkana. Mario odsunął Dr Georga i poczuł nagłe dławienie w gardło. Na podłodze spiżarni leżał Michael White. W jego lewej piersi, wbity aż po rękojeść tkwił nóż.

C.d.n.

---

"Mężczyźni patrzą tylko na nogi,  
choć to dopiero w... połowie drogi".  
J.I. Sztudynger

---

x x x

Ogień,  
który codziennie rozpalam  
by zgasić -  
on jeden został  
z naszych wspólnych spraw.

Przyjacielu,  
już tylko w płomieniu jesteś  
i wciąż na nowo umierasz.

Tadeusz A. Olszański

---

"?"

Oto kolejny odcinek nienapisanej i niwydrukowanej powieści - "Na zachodzie same zmiany" znanego wam z licznych poematów światowej sławy dramatopisarza. Niniejszy odcinek dotyczy, jak łatwo się domyśleć, najbliższego nam /choć nie ideologicznie/ zachodu, a mianowicie Bundesrepublik niemieckiej. A jakie zmiany? Znacnie... to posłuchajcie.

Po pierwsze primo: nie zabijaj wielorybów!

Po drugie primo: wszystko tanieje - zupełnie bez sensu. Kasety, płyty /szczególnie CD/, samochody, kobiety etc., etc. Tylko gorzała dalej droga, ale za to przed trzynastą.

Po trzecie primo: Morze Północne umiera!

Po czwarte primo: rozłam w partii "Zielonych". Die Grünen nie mogą się zdecydować, czy ~~zixxxxxxxx~~ są raczej zachowawczy, co wynika z ich programu /"zachowanie naturalnego status quo przyrody, natury itd./, ale sugeruje kierunek /tu w oryginale jest strzałka, ale ja nie umiem na maszynie jej wyrysować, stąd to moje wytłumaczenie - Bogna/ /dla niewtajemniczonych "na prawo"/, czy też chcą być komunizujący i iść w kierunku przeciwnym /oryg. następna strzałka, w drugą stronę - Bogna/ niż np. p. F.J. Strauss. Grozi to rozpadem partii na dwie części, które nie będą mieć wystarczającej ilości głosów /5%/, aby wejść do parlamentu, a tym samym upadkiem "trzeciej siły" w RFN.

Po piąte primo: Eskimosi też chcą żyć!

Po szóste primo: Dajmy spokój smutkom! Wspomniany wyżej F.J.S. /nie mylić z Frontem Jedności Narodowej/ wrócił niedawno z Moskwy, gdzie rozmawiał z tow. Gorbaczowem nt. pieriestrojki i głośności. Wrócił zadowolony i wyrażał się o naszych przyjaciółkach cieplej niż zwykle, mówiąc m.in., że nie jest to już "Land of Evil". Jak tak dalej pójdzie, to może nawet przestaną mieć do nas awersję o Śląsk i Pomorzel?!

Po siódme primo: dzikie zwierzęta mają prawo do dzikiego życia!

Po ósme primo: opalają się tu i kąpią na goło /świniuchy!/, kobitki razem z facetami. Indegowane niewiasty odpowiadały jednak, że ona tak nie dla przyjemności, tylko z powodu presji społecznej. Cóż ten kapitalizm, w swym wyuzdanym stadium robi z ludźmi!

Po dziewiąte primo: bawarskie lasy giną!

Po dziesiąte /i ostatnio/ primo: Nowe obostrzenia w tw. alternati-  
vo service /służba zastępcza - szpital, fabryka zamiast armii/  
- musi trwać 20 miesięcy czyli 5 mies. dłużej niż służba w armii  
i czasem się zdarza, że komuś odmówią. Wszyscy są tym bardzo obu-  
rzeni - głupole. Przy okazji pozdrowienia dla Telesfora i WiP-u  
od tutajszego Peacefull Movement /nie zapamiętałem jak to jest po  
niemiecku/.

Po pierwsze secundo /ostrzegającym!/: Greenpeace walczy!!!

C.d.n.

PS 1: Nie sprawdza się, jak na razie, teza dr J. Łozińskiego doty-  
cząca tego, że po pewnej ilości alkoholu wszyscy mówią po  
naszemu. Sorry.

PS2: Z tym cdn-om to była podpucha.

Wasz

Andrzej Pawlik

---

"A poza tym różni nas klasa,  
bo pan sam lampas, a ja mam lampasa".  
J.I. Sztudynger

---

### Mężczyzna, którego poznałam na Otrycie

Moje serce zostało na Otrycie. Tam poznałam Mężczyznę Mego Ży-  
cia. Zdyszana, przygnociona ciężarem plecaka, wlokłam się pod gó-  
rę, gdy On wyłonił się nagle z lasu. Do połowy nagi szedł lekkim,  
sprężystym krokiem, niosąc jak Schwartzenegger na jednym ramieniu  
piłę, na drugim potężną bukową kłodę. - To już niedaleko - krzyk-  
nął przyjaźnie i dla dodania mi otuchy ruszył drobnym truchtem  
naprzód. - Mmmm... pomyślałam - Co za mężczyzna... Przy takim męż-  
czyźnie nawet mężczyzna czuje się kobietą-. Kiedy w pół godziny  
później dotarłam wreszcie do Chaty, jego muskularne ramiona koń-  
czyły właśnie układanie stosu posiekanej drobniutko buczyny.

Zrazu mężczyzna spojrzął z niejaką odrazą na me zlane potem  
oblicze, lecz - gdy umyłam się i uczesałam - w kilku krótkich słó-  
wach wyznał mi miłość. I tak stał się Moim Mężczyzną.

Mój Mężczyzna jest wzrostu przeciętnego, ale nikt nie odwa-  
żyłby się powiedzieć, że jest niski. Jeśli w ogóle posiada jakieś  
braki w budowie anatomicznej, wszystko nadrabia olbrzymiej wielkoś-  
ci stopami. Prawidłowo umięśniony, nosi brodę i ciemne okulary,  
włosy wcześniej przyprószone siwizną strzyże krótko przy skórze.  
Na Otrycie zwykł chadzać w spodniach i koszuli. Gdy pada - przyw-  
dziowa kałasze i zielony płaszcz.

Mój Mężczyzna, Którego Poznałam na Otrycie jest w gruncie rzo-  
czy poczciwym człowiekiem i naprawdę daje się z nim żyć. Z natury  
opanowany, zgodny i ustępliwy, cholery dostaje tylko wtedy, gdy  
mu się sprzeciwić. Pracuje tyle, ile wypada, a gdy patrzą na niego  
kobiety - nawet więcej. Zawsze szarmancki i rycerski wynosi z  
kuchni pomyje, zaznaczając przy tym jednak, że dawniej stanowiło  
to wyłączny przywilej płci pięknej. Często też wzdycha do dawnych  
otryckich dziewcząt, które ponoć były prawdziwymi otryckimi  
dziewczętami.

Mój Mężczyzna jest moją opoką. Co dzień wstaje przed świtem  
i nie bacząc na ostrą niedyspozycję rozpala dla mnie pod kuchnią  
wiązkę prześlicznych czerwonych płomieni. Potem - dla zdrowia, wy-  
pija duszkiem pół wiadra źródlanej, czystej wody /w dramatycznym  
porannym braku innych, czystych wód/. Na śniadanie zazwyczaj każe  
sobie podać dziewięć kanapek z mielonką i nie wybrzydza, gdy są  
przybrane pomidorami lub papryką. Zaczem udaje się na taras, aby  
w spokoju wypalić pierwszy tużin papierosów /dziennie zużywa  
przeciętnie 48 zapalek/.

Mężczyzna, Którego Poznałam na Otrycie jest młodym intelektu-

alistą i za takiego skusznie się uważa. Gdy skończy 50 lat, dostanie Nobla, sama mu to załatwi. Póki co, leżąc w słońcu /i na tarasie/ dyskutuje z innymi mężczyznami. O! O! Jakże ciekawo są to dyskusje! Czasem wymykam się z kuchni i wysunąwszy ucho przez otwór okienny, przysłuchuję się z tchem zapartym. Ale niech no tylko On dostrzeże owo ucho!!! Wtedy... wpada w gniew i głośno używa wyrazów. Kobiety - twierdzi - nie powinny mieszać się do tych rzeczy.

Do południa Mój Mężczyzna wbija jeszcze tu i ówdzie parę gwoździ i robi sieszkę z kilku bukowych pni. Potem coraz dotkliwiej zaczyna odczuwać nieprzyjemne odwodnienie organizmu. Ze schowka za piecem wyciąga wtedy zawiniątko z dokumentami i książeczką ~~xxxkawa~~ czekową i zbiega po sprawunki do pobliskiej wsi. Gotuję jego ulubiony makaron z mielonką i czekam cierpliwie z obiadem. Czasem zdarza się, że wraca lekko ubłocony i dopiero po dzienniku, ale nie czynię mu nigdy wyrzutów.

Mój Mężczyzna nie pije więcej niż inni, ale upija się niestety bardziej /od małego tak słabował na głowę/ Robi się nieco smutny, zaczyna wspominać dzieciństwo i swoje młode lata, potem śpiowa cygańskie romanso i wśród łez rozczulenia ~~ax~~ zasypia na stole lub pod. Proszę wtedy kogoś, by pomógł mi włożyć go pod pierzynkę, a sama opatulam go dokładnie /szczególnie starannie stópki, bo bardzo mu marzną/. W nocy zazwyczaj jest grzeczny, nie chrapie, nie kopie, ani się nie rozpycha.

Mężczyzna, którego Poznałam na Otrycio, który Jest Moim Mężczyzną /czytaj inaczej: Mój Mężczyzna, którego Poznałam na Otrycio/ jest przyjacielem sów, psów i biedronek. Nie mogę powiedzieć, lubi on te wszystkie boże stworzonka, oj, lubi. Czasem, o ile pogoda sprzyja, wyjdzie sobie przed Chatę, postoi, popatrzy: jak to roślinki rosną, jak listki zielonieją, a trawka skoszona pachnie, a kwiatki się ~~xx~~ zżocą. Motylek, drań, usiadł na nosie /te, ~~xx~~ zjeżdżaj, pókim dobry/, słoneczko przyświeca, może i jakiego grzybka by się trafiło. Byłby jak znalazł do makaronu. Albo i zupy jakiej można by nagotować. Stoi tak sobie i patrzy, patrzy tak sobie i wzdycha i tak mu się gdzieś w środku letko robi. Hej, albo też wyjść sobie w nocy, po niebie się porozglądać, gwiazd spadających poszukać... O, leci jedna, skórkowana... No, to musi co dostawa jutro w Lutowiskach będzie.

Na koniec zdradzę wam jeszcze jedno... Otóż on... gra!! A w co on gra? zapytacie. Ach, w co on nie gra - odpowiem.

Gdy gotuję kolację, gra w brydża. Z impetem dobija karty ~~xx~~ do stołu i ruga wielkim głosem partnera. Jeśli jest akurat w dobrym humorze, woła do mnie, do kuchni: Kochanie, jaki kolor mam dziś zalicytować? - Kraśnieję z zadowolenia po sam czubek nosa /a cały stolik patrzy na mnie w napięciu/ - No, te... sorduszka - chichoczę.

A po kolacji gra na gitarze. I szczerze wam się przyznam, że nie wiem czy ciągu całego dnia nie jest to najprzyjemniejsza dla mnie chwila. Wszyscy szybko wychodzą. Zostajemy sami. I wtedy mogę mu z miłością i oddaniem wyznać, że gra wspaniale, cudownie... zupełnie jak ten, taki sławny, o którym słyszałam... no, jak on się nazywał?... O, jak Szopen!

Ale na tym nie koniec. Raz w tygodniu Mój Mężczyzna pozwala mi pójść popatrzeć na mecz. Wtedy gra w koszykówkę. Mam głośno skandować jego imię i drzeć się "Sędzia kaloszl/ ilekroć tym jego ohydny, paskudny przeciwnikom uda się zdobyć punkty.

Kochani, Mężczyzna Mojego Życia to człowiek cichy i skromny. Ilekroć ludzie okazują mu podziw, czuje się naprawdę zażenowany. /Dlatego też apoluję przy okazji - róbcie to, na miłość boską, taktownie!/. Przeszępuje wtedy nerwow z nogi na nogę i mamrocze speszony: Co? Ja? Skądże... Oj, bo pan to zawsze tak... Ależ, proszę Pani, co też pani...?!



Możecie sobie wyobrazić, jaki był biedak skonfundowany, gdy w pownym poczytnym piśmie ukazał się bałwochwalczy niemal artykuł pt. "Mężczyzna, którego Poznałam na Otryciu". Ależ gdzie tam... Ci w prasie zawsze coś takiego... No, już dobrze, dobrze... - bąkał ze wstydlwym uśmiechem.

Ariadna

"Kiedy przechodzi żadna dziewczyna,  
zaraz mi amor łuk napina".

J.I. Sztudynger

### W 9 lat później czyli baran 88

Pisanie krótkiej rozprawki: "baran dzisiejszy, a barany niedysiejsze" jest dosyć trudne, jako, że te ostatnie zlały mi się w jednego /"i widzę go ogromnym"/.

Czy było lepiej czy gorzej? - trudno odpowiedzieć /zważając na oczywistą tendencję do upiększania przeszłości/ - może było więcej przeżywania niż spożywania; może mniej grano ale ciekawiej. Na pewno więcej gadano, lecz może wynikało to z pewnych złudzeń, które obecnie nie istnieją, problemów, które są nieważne.

Niemala część ludzi, których znałem znikła za granicami, a pozostali zaszyli się w różnych zakamarkach ludowej ojczyzny. Zastanawiająca jest dla mnie mała ich ilość jaka dotarła na obecnego barana - może nie wiedzieli lub woleli zostać ze wspomnieniami nie konfrontując ich z rzeczywistością. Muszę przyznać, że gdyby nie zaproszenie także bym nie przyjechał.

Przybyliśmy we czwartek wraz z Jurkiem Szczupaczyńskim, którego telefon /pozytywna strona kłopotów mieszkaniowych/ po 9 latach okazał się aktualny. Wchodziliśmy drogą od Dwernika - tu wzbudziłem u J. nieuzasadnione podejrzenia swoją dobrą pamięcią. No cóż - droga ta miała okazję na nią zasłużyć jako, że w czasach błogosławionej prohibicji na górze była dosyć często pokonywana w celu odwiedzenia /nieistniejącego obecnie/ zacisznego lokaliku - zasłużonego m.in. dla przyjaźni polsko-enerdowskiej /jeden z moich kolegów z powodzeniem uczył ludzi przysyłanych przez Wolfganga staropolskiego "chlusniem bo usniem"/. Stąd też pamiętałem powyższą drogę jako dosyć ciężkie, długie i trzeźwiące podejście. Kiedy z lekką zadyszka dotarliśmy na górę miałem dwa sprzeczne uczucia - powrotu do domu i trochę takie jak 12 lat temu, kiedy przyszedłem tutaj po raz pierwszy. To drugie łączyło się z tym - że nikogo nie znałem /Belwita pamiętałem - on mnie nie, czemu specjalnie się nie dziwię/. Dosyć to zabawne uczucie - słysząc pogłosy dawnych dyskusji, mając wrażenie, że tuż za plecami siedzą znajome osoby być obcym. Z dawnej atmosfery zachował w sobie trochę, jak przystało na poetę, Belwit miotający się nieco między niezrozumieniem a brakiem dyskutantów /nie wiem, co prawda, czy mu to specjalnie przeszkadza/. Z rzeczy n wych dostrzegłem wyraźny postęp w standardzie życia - droga od Lutowisk /właściwie od "Żubra"/ na Tajwan wyasfaltowana, a dalej na Tajwanie betonowe płyty; - prawie nikt nie myje się w ujęciu - przypomniało mi to boje pomiędzy pierwszą odważną dziewczyną a Heńkiem K. o prawo do używania łazienki /było to przecież tak niedawno - ok. 10 lat temu/.

Z rozważań nad tym co było, a nie jest etc. wyrwał mnie z zwiastun dobrej nowiny, który dyskretnie wchuchał we mnie informację, że jesteśmy z Jurkiem jedynymi ludźmi godnymi zaszczytnej służby przy wachcie baranowej /jako "starzy" posiadamy niezbędne doświadczenie etc./. Pogoda sobotnia odpowiadała naszym /tam. Jurka i moim /nastrojom, aliści po nieudanej próbie zbierania orzechów wykonaliśmy /dzięki nieocenionej pomocy Izy i innych ochotniczek/ udaną, jak sądzę, próbę nakarmienia otrytczyków. Kiedy już najbardziej wytrwali brydzyści opuścili okolice kominka aby połączyć się z baranem, zasiedliśmy wraz z Waldkiem do ~~pagawędk~~ pog-

warek. I tak, używając lekko powiększającego szkła z dna butelki, rozważaliśmy nasze chrystusowe lata i problemy z nimi związane.

Później zeszedliśmy, przepijaliśmy, śpiewaliśmy, gawędziliśmy /wszystko w miarę możliwości/. Następnie komuś śpiewano "100 lat", ale nie wiem komu - były podejrzenia, że przyszłym baranom. A potem j.w.

Kiedy już przy ogniu zostali najwytrwalsi wielbicieli baranienia poszliśmy wraz z Piotrem M. do dormitorium. Tu okazało się, iż miejsce P.M. zostało zajęte przez bliżej nie sprecyzowaną osobę, która przez sąsiada z prawej została określona jako Karol - nie pisałbym o tym naturalnym zdarzeniu gdyby nie to, że jest dx to dowód na ~~na~~ cudotwórczość tej nocy - Karol w ciągu trzech godzin zmienił zdecydowanie płęć i rano obudził się jako ładna dziewczyna.

Następnego dnia zaczęło się to, co nie dało mi wrócić do Warszawy przez prawie tydzień - bagno otrzycko-bieszczadzkie zaczęło mnie wciągać i chociażby z tego względu /mimo, iż było to zjawisko postbaranowe/ uważam, że baran udał się.

Piotr zwany też Augustynem

---

"To jest największą tragedią zapewne -  
ojcowie są niepewni, bo matki niepewne".

J.I. Sztaudynger

---

### Sprawozdanie z obozu remontowego /czerwiec/

Bywa, że obozy remontowe nie udają się. Tak było i tym razem. Recept na powodzenie jest pewnie wiele. Ja wyszedłem z prostego założenia, że wystarczy odpowiednia frekwencja, pracy zawsze jest ~~w~~ w bród. Konsultacje co do optymalnego terminu nie przyniosły jednak oczekiwanego rezultatu - w ciągu dwóch tygodni w Chacie przebywało jednorazowo 3-4 członków Klubu.

Nie przesądziłoby to być może o losach obozu, gdyby nie okoliczności dodatkowe. Prace, którymi mogliśmy się zająć /specjalne przygotowania były niemożliwe ~~z~~ ze względu na brak preli-minarza/ wymagały odpowiedniej pogody. I tak dopiero pod sam koniec zzerwca możliwe było zakończenie dachu lektorium /od tej chwili można było kłaść gont/. Czyszczenia ujęcia /pilne zalecenie Sanepidu/ mimo dwóch poważnych podejść, nie udało się nawet dokończyć, ze względu na zbyt wysoką wodę. Wykonano kilka mniejszych prac przy Chacie, Arturówce i Lektorium. Przyjęliśmy Dyrektora d/s Technicznych UW.

Marek Parzydło

PS. Pewnego dnia dałem straszną planę. Jako kierownik obozu, prezes, członkowie ~~z~~ gotowi ~~z~~ tak Klubu. Przepraszam.

M.P.

---

"Pani - to jak groch przydł ~~z~~ drodze.  
Skubię - wielokroć przechodzę".

J.I. Sztaudynger

---

### Zupełnie szczere sprawozdanie z kadencji 13.10.87 - 21.10.88 r.

Cały ten rok był obfity w wydarzenia. Tyle bogatych planów i pomysłów, tyle porażek i sukcesów, małych i dużych. Trudno to wszystko teraz zebrać, podsumować. Rozliczyć się z rocznej kadencji.

Miedawno ktoś podsunął mi w Chacie Biuletyn z moim tekstem pt. "Co bym chciał". Zawierał moje /niemoje/ pomysły na Klub i Otryt, program "zielonego" /w obu znaczeniach/, pełnego energii, ~~z~~ tego prezosa Klubu. Skonfrontowałem te swoje plany, ambicje z tym, co w Klubie po mnie zostaje. Spróbowałem zrekonstruować ten rok

młodego prezesa Klubu. Skonfrontowałem te swoje plany, ambicje z tym, co w Klubie po mnie zostaje. Spróbowałem zrekonstruować ten rok jako prywatną ~~kg~~ historię zamierzeń i efektów. Chcę "po prostu", "od siebie" opowiedzieć o tej kadencji i trochę o sobie /po raz drugi po 21 nr B.O./. I w tej formie składam Wam to sprawozdanie.

Błąd pojawił się już w samych założeniach. Nie wystarczy zaproponować kilka dobrych pomysłów /a o tym, że dobre jestem wciąż przekonany/, by Klub ożywić, by zaczął działać inaczej. Chodziło mi zawsze o model pracy polegający na współdziałaniu, by wzór wspólnoty pracy, o którą tak łatwo w warunkach otryckich pezenieść do Warszawy, by sam Klub i to, co mógłby zrobić stało się przedmiotem wspólnej troski, "powstawało samo", na zasadzie spontanicznych, twórczych inicjatyw.

Wiem. Wszystko to cholernie niejasne i na milę pachnie jakimś starodawnym utopizmem. Utopia była tym, co zawsze mnie w Otrycie pociągało.. Teraz to już nieważne. Wiem już, że Otryt i Klub nie jest enklawą, w której normalne trudności związana z życiem w społeczności lub grupie nie istnieją. Enklawy możesz tam szukać tylko dla siebie, kogoś kochasz, przyjaciela.

Na własny użytek przeprowadziłem małe badanie. Kilku osobom, na które liczyłem w swoich planach przebudowy, zadałem to samo pytanie - czy czują potrzebę takich zmian, czy tego chcą. Szkoda, że wpadłem na to tak późno...

Ktoś powie - nie potrzeba doskonałości, ideału utopii, by coś zmienić. To też już wiem. Czasem tylko zastanawiam się skąd biorą się tacy jak ja, którzy zabierając się do poważnych spraw tak mało wiedzą.

Trzeba dużo czasu i dużo wysiłku. Więcej pracy a mniej naiwnej nadziei. Da to pewnie lepsze efekty i mniej frustracji, z których zwierzałem się /!/ Radzie już w połowie kadencji.

A tymczasem: co zostanie po tobie - Malutki? Co zrobili ludzie, z którymi pracowałeś; ci, którym pomagałeś i którzy pomagali tobie?

x x x

Sprawy gospodarczo-finansowe nie stoją źle. Dyrektor Frączak /budowlaniec, góral z Zakopanego/ obejrzał Chatę. Nie jest tak, że belki zsuwają się ze słupów. Zmiany zaobserwowane przez nas /o ile w ogóle zaszyły/ są jedynie wynikiem osiadania całości, co niekoniecznie jest zjawiskiem negatywnym. Dla wzmocnienia konstrukcji Zakład Konserwacji UW /nie zabytków/ wykona stalowe obejmy łączące belki ze słupami, otrzymamy też cement do wykonania ław wiążących rzędy słupów, być może wystarczy na remont ujęcia.

Z preliminarzem poszło najgorzej. Stary jest praktycznie rozliczony, ale z nowym same kłopoty. Władze uczelni najpierw nie mogły przydzielić nam pieniędzy /miały inne traktwienia w tym roku/, w tej chwili jest problem z ich przekazaniem z powodu złych stosunków między RU a Dyrekcją administracyjną UW. Póki co w pilnych zakupach korzystamy z kasy RU. Proponuję jednak traktować to ściśle doraźnie i tymczasowo i naciskać na uzyskanie tego, co nam się należy.

Obozy. Na trzech z nich szczególnie mi zależało i uważam je za szczególnie cenne. Obóz wielkanocny, festyn w Chmielu, zerówka, sprawozdania z nich są już chyba znane. Pierwsze dwa mogą dużo wnieść do życia Klubu, gdyby pomysły te i nowe doświadczenia potraktować poważnie. Dotarliśmy do wielu ludzi i środowisk, z którymi możemy współpracować i które tej współpracy oczekują. Zerówka daje nadzieję, że są jeszcze ludzie, którzy na Otrycie i być może w Klubie znajdą coś dla siebie i zostaną tu.

Czego by nie mówić, coś jednak zostanie, nie był to rok zły, stracony. Są przedsięwzięcia, które należy kontynuować i sporo optymizmu. Ja sam jestem bogatszy o wiele doświadczeń. Może więc...

Poprzedni tekst, oczywiście, pisał Marek - Prezes. Tyle, że podpis już się nie zmieścił. Przepraszam. B.

"Kiedy kobietę w własne łożę złożę,  
spokojny jestem, że nie cudzołożę".  
J.I. Sztudynger

W dniach 1 do 14.07.88 r. odbył się obóz klubowy, na którym mieliśmy integrować się ze studentami USA. Niestety frekwencja amerykańców nie dopisała, w zamian gościliśmy dwójkę turystów /studentów/ z NRD. On świetnie grał na gitarze. Ona ni w ząb nie rozumiejąca po polsku uśmiechała się do wszystkich i do wszystkiego. Odbyło się kilka imprez, lecz warto podkreślić, że były to imprezy po pracowicie spędzonych dniach. Co zostało zrobione nie będę wyszczególniał - pozostawiam to do oceny klubowiczów. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, iż w tych dniach członków Klubu było tylko dwóch: Andrzej Pawlik i ja.

Pogoda była wspaniała /przywieźliśmy ją sobie z Warszawy/, więc prócz pracy i rozrywek były i wycieczki. Nie uczestniczyłem we wszystkich ponieważ byłem obciążony opieką nad dziećmi oraz kierownictwem. Jedną, bardzo sympatyczną postanowiłem umieścić w tym sprawozdaniu. Uczestnikami byli: A.P., Jacek "Marynarz", Joanna, moje dzieci i ja. Nie była to wycieczka w dosłownym znaczeniu turystyczno-krajobrazowa. Owszem, była i krajobrazowa, ale postanowiliśmy połączyć przyjemne z pożytecznym i pomóc potrzebującemu - wybraliśmy się do Bartka, który był chory i sam nie mógł sobie poradzić z naprawą brogu na siano.

Warto również napomknąć o grupie łodzian - studentów socjologii, którzy byli tyleż sympatyczną co włączającą się aktywnie w życie otryckie.

Dziękuję wszystkim uczestnikom mojego obozu i kończę to krótkie sprawozdanko - mimo wszystko wolę pracować niż pisać.

Darek

"Niech pani sobie z którym poleży,  
to pani pozna zwyczaje młodzieży".  
J.I. Sztudynger

### Sprawozdanie z zerówki

Obóz odbywający się w dn. 1-21-09 był specyficzny i niepowtarzalny. Dlatego poświęcony mu będzie specjalny numer B.O., a na razie tylko ogólny obrazek.

Przez pierwsze 3 tygodnie września w kominkowej powiewał sztandar z napisem "Obóz pracy Izy Rider Gutowskiej". W tym czasie 19 przyszłych socjologów miało odbywać praktyki robotnicze /przy lekkich pracach leśnych/, a oprócz tego poznawać Otryt, "Chatę Socjologa", Klub Otrycki i jego niektórych członków, siebie oraz dyskutować na tematy ujęte pod wspólnym hasłem "Od baśni do filozofii". Jak to wyglądało? Najlepiej przebiegał wątek interpersonalno-poznawczy. Niewątpliwie przez tak długi czas wspólnego przebywania ze sobą zintegrowaliśmy się ze sobą i poznaliśmy nawet tych najbardziej cichych i "chowających się".

W pracy przeszkadzały często obiektywne trudności, program naukowy pozostawiał wiele do życzenia /za mało referatów i atmosfera nie zawsze sprzyjała ich realizacji/. Zawiodła pogoda. Nie pomogło zamawianie ani odczynianie uroków. Zamiast malowniczych widoków, pięknego wrześniowego słońca, dookoła było błoto /ohydne/, deszcz padający z różną częstotliwością i mgła - obrzydliwa, białawoszara, oplatająca i wdzierająca się wszędzie. Niesprzyjająca aura sprawiła, że Duch Otrycki przybrał szatę melancholii.

/popierając tym zresztą jednoosobową - na początku - organizację Waldka "Melancholia i Dotyk"/, a my wraz z nim. Poza tym Chacę opanował wirus, nie oszczędził prawie nikogo, był uparty i nie dawał się zwalczyć ani tradycyjną kuracją czosnkowo-cebulową ani licznymi lekami aplikowanymi przez Artura, naszego zerówkowego lekarza. Życie ubarwiali nam coraz to nowi turyści - ściągający na Otryt, jakby był on sercem Bieszczad - wszyscy mokrzy i zziębnięci garnęli się do kominka i chociaż noc spędzali zwykle w bazie /w Chacie nie było miejsca/ bywały wieczory, kiedy dominowali w kominkowej.

Nasze dni... Kiedy była pogoda /czyli przez jakieś 5 -6 dni/ wstawaliśmy skoro świt i ze śpiewem na ustach szliśmy do pracy.

Układaliśmy drzewo, ścinane przez pilarzy tak, aby las na Otrycie zyskał miano najlepiej uporządkowanego w Polsce. Gdy pogody nie było sypialiśmy dużo, czasem tylko sprawdzając dlaczego tak długo nie rozlega się krzepiący serca okrzyk "koryto!". Niestety, mokre drzewo często nie chciało się palić pod kuchnią, natomiast suszone w piekarniku paliło się natychmiast doprowadzając do małych pożarów. Nagle zauważyliśmy też, że jest nas bardzo dużo i wtedy niektórzy - dość bardziej przyzwyczajeni do ciszy i samotności - szukali miejsc odosobnionych, na przykład zamykając się w łazience na "spokojnego papierosa". Na początku prawie każdy marzył o pójściu na wycieczkę, potem - marzyliśmy, żeby inni poszli na wycieczkę i żeby w Chacie zrobiło się pusto i przestronnie.

Wieczory - zwłaszcza te, w czasie których nie było referatów - upływały pod znakiem dyskusji i rozmów. Ulubionym tematem była miłość i wszystkie jej odmiany. Założyliśmy szereg organizacji, oprócz wspomnianej Waldkowej, najprężniej działały "Miękkie batony" oraz "Twardziele". Czasami imprezowaliśmy. Najhuczniej obchodziliśmy imieniny kierowniczkę /to były najwspanialsze imieniny w moim życiu/. Oczywiście cały czas towarzyszyła nam muzyka, głównie gitarowa, nie tylko w wykonaniu Malutkiego i czasem Gospodarza, ale także "Szalonego Gitarzysty" Alka oraz koleżanek Maria - Iwony i Elki. Osobne koncerty dawał Karol na "dmuchanym fortepianie". Mieliśmy swoje ulubione przeboje i nie wyobrażaliśmy sobie, żeby jakiś dzień mógł bez nich istnieć.

Właściwie opowieść o obozie jest opowieścią bez końca. Najważniejsze jest bowiem to, co będzie teraz z młodymi socjologami - potencjalnymi Otrytczykami. Zobaczą Otryt z gorszej strony, przy deszczowej pogodzie, kiedy dni są zbyt długie a pracy za mało, kiedy wkrada się nuda... Czy będą mieli ochotę przyjechać tu jeszcze? Czy niektórzy zapadną na chorobę "otrycką" i będą przyjeżdżać tu ciągle? Zobaczymy, ale ja myślę, że "Optymistą trzeba być i nawet kiedy źle trzeba mówić, że w porządku, w porządku jest".

Xa

Iza Rider Gutowska

---

"Bóg tyle cudnych dziewczek stwarza,  
a potem wszyscy - huzia na dziewkarza".

J.I. Sztudynger

---

To już koniec, chciałabym wytłumaczyć tylko ten Biuletyn. Moja obecna maszyna zaczyna się na literze "z" /udało się ją napisać/ i z tego powodu błędów w tym numerze więcej niż kiedykolwiek. To naprawdę nie moja wina.

Bogna /Red.Nacz/.